№ 49. 4. Grudnia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Wieczór Mickiewiczowski
w Poznaniu.

W Poznaniu obchodzono w teatrze polskim bardzo uroczyście rocznicę powstania listopadowego oraz rocznicę śmierci Adama Mickiewicza.

Najpiękniejszym punktem programu był prolog, napisany przez p. dra Wład. Rabskiego, który podajemy poniżej:

(Scena przedstawia cmentarz. Na jednym z grobów siedzi starzec siwy. Opodal oparty na mogilniku stoi młodzieniec w głębokiej pogrążony zadumie. Słychać żałosny szum wiatru. — Noc.)

Starzec.

Słyszysz, jak szumią rozmarzone drzewa?
W gałęziach nagich jak kości szkieletów
Pełza duch grobów i każdy z nich śpiewa
Że na mogiłach błąka tłum Hamletów,
A zdala płynie ku żałobnej głuszy
Krzyk rynków ludzkich i syk Poloniuszy.

(wstaje.)

Jak kamień serca, jak lód wasze tchnienie,
A rozpłakana noc listopadowa
Przędzie swój welon i krepowe cienie
Kładzie na grobach, jak żałobna wdowa —
Bo gdy powstaną rycerskie kolumny
I na sąd wielki powołają syny,
Cóż im powiecie . . . . . ruiny?

Młodzieniec.

Niechaj nas sądzą! Nie lękam się trumny,
I chociaż wstanie tu kościotrup nagi,
Nie spłonę wstydem.

Starzec.

Szczęśliwa zuchwałość
Tam gdzie nie starczy serca dla odwagi.
Miedzianem czołem osłońcie zmartwiałość
I targowiska nutą wyniańczeni
Mieńcie brylantem wasz towar z kamieni.

(z ironią)

Lśnią się klejnoty w straganach narodu:
Czapki z dzwonkami i lalki bez duszy,
Orły z papieru i pałace z lodu,
Drewniane miecze i strzępy kontuszy,
A ćma trefnisiów na rynku stanęła
I śpiewa dumnie: Jeszcze nie zginęła!

Młodzieniec.

Bielmem cisnęła ta kraina śpiąca,
Oślepłeś starcze i nie widzisz słońca.

Starzec.

Świt? puste słowo! Jest tu noc bez końca,
A tam gdzie syny krwawą ojców ziemię
Za Judaszowe sprzedały srebrniki,
Duma łkające białych duchów plemię
Jak marmurowe grobów mogilniki,
I w tę żałobną noc listopadową
Przekleństwo płynie dzikich wichrów mową.
Biada wam, syny! Wy jak liść jesienny
Niezdrowym lśnicie na twarzy rumieńcem
I bohaterów grobowiec kamienny
Bezwonnych kwiatów oplatacie wieńcem.
Biada wam, syny! bo ojców spuścizna
W życiowych mętach tonie bez pamięci,
I okrzyk słyszę wielki jak Ojczyzna:
Przeklęci!

Młodzieniec:

Stój! nie przeklinaj! W groby zapatrzony
Róży nie widzisz w nowym życia gmachu.

Starzec.

To róża dzika — to kwiat bez zapachu.

Młodzieniec.

Nie bluźnij starcze! bo wonne festony
Róż płomienistych kwitną po dolinach,
I wieńce wije młode pokolenie
Z kwiatów rozsutych w narodu nizinach
Tam gdzie drzemały lody i kamienie
A życie tliło się w słabej iskierce,
Dziś miljon blasków i świtu promienie
I kwiat Ojczyzny: Wielkie ludu serce!
Starcze schyl czoło! bo tam gdzie zwaliska
Śmiertelnym jękiem urągają grobom,
W Spartaków dłoniach nowy sztandar błyska —
Polsko! Excelsior! Lud czuwa nad tobą.

Starzec.

Śpiewaj mój synu! To nuta aniołów.

Młodzieniec.

Do nowych modłów dzwon Zygmuntów wzywa,
Bo czcią nie gardząc tych starych popiołów,
Dzis innych pieśni pragnie ludzkość żywa.
Wczoraj jedynie narodu połowa
Czciła Ojczyznę w sen długi zaklętą,
Dziś płomień święty pod strzechą się chowa
I cały naród wielbi ją jak świętą.
A gdy już dawne zbutwiały filary
W krwią sfarbowanej stuleci przestrzeni,
Z ruin podźwigną świątyni gmach stary
Parjasi wieków i wydziedziczeni.
My pieśń ojczystą nieśli w polskie chaty,
Budząc uśpione niewolników siły,
A w takich zwycięstw i tryumfów kwiaty
Listopadowe wieńczymy mogiły.

Starzec:

Ty grobom odsłoń tłumy przebudzone.

Młodzieniec.

Lud u stóp wieszcza! Rozchylcie zasłonę!

(Za podniesieniem tylnej kurtyny ukazuje się biust Adama Mickiewicza w otoczeniu ludu wiejskiego. Jedna z wieśniaczek, z wieńcem zbożowym w ręku, występuje z tłumu i mówi:)

Wieśniaczka.

W grób Wawelowy płynie głos pociechy:
Mistrzu! „Twe pieśni zbłądziły pod strzechy,
I wzięły polskie wieśniaczki do ręki
Te księgi proste, jako ich piosenki“
Strun Adamowych brzmią ojczyste tony,
A lud je sercem płomienistem chwyta
I nie w laurowe stroi cię korony
Lecz w polskie wieńce z pszenicy i żyta.

(Wieńczy biust.)

Starzec.

Ludu mój, ludu! bądź błogosławiony!

(Kurtyna spada).

Arcydzieła poezji epicznej.

Epos. Arcydzieła poezji epicznej wszystkich czasów i narodów przez A. Chassang i A. L. Marcou, przełożył i uzupełnił A. Lange. Warszawa, Teodor Paprocki i Ska.

W jednej z humorystycznych fantazji na temat XX-go wieku znajduje się opis uniwersytetu, w którym wykładają uczniom naukę „komprymowaną“: Z »Iliady“, Homera zrobiono ekstrakt czterowierszowy; całego Szekspira ściągnięto — w trzy okresy i t. p. Potrąciwszy z tej fantazji kilkadziesiąt procent na dowcipną przesadę, przyznać należy, że humorysta doskonale scharakteryzował dążność epoki: wiedzieć dużo, ale *umieć* mało; znać wszystko, ale tylko po łebkach, bo to wystarczy do czytania dzienników i prowadzenia konwersacji salonowej. Dziś rzadko kto, prócz specjalistów — i to sumienniejszych — stara się zapoznać źródłowo z utworami poetów; większości wystarczają encyklopedje, historje literatury, oraz specjalny rodzaj książek, zawierających streszczenia pewnego gatunku dzieł. Nie będziemy się wdawali w ocenę szkodliwości, lub niewinności tego dążenia, boć to trudna rada: głową muru nie przebijesz. Godząc się atoli z faktem społecznego lenistwa, mamy prawo kontrolowania owej »komprymowanej“ strawy duchowej: jeżeli ludzie mają czytać wyciągi, to niechaj czytają wyciągi sumienne i dobre, robione źródłowo i umiejętnie, Otóż wspomniana w nagłówku niniejszego książka francuska, którą p. Antoni Lange przyswoił naszemu językowi zdaje się ze wszech miar odpowiadać celowi.

W VI. rozdziale wstępu autorowie francuscy w ten sposób motywują użyteczność swojej pracy: »niema już nic do zrobienia dla chwały poetów epicznych, my już jej niepotrzebni, ale jest coś do zrobienia, aby rozpowszechnić znajomość ich dzieł. Sława — szczególnym trafem — zaszkodziła tej znajomości. Popularność eposów zdaje się, że zwalnia nas od ich czytania i imiona ich bohaterów są nam tak swojskie, że zdaje się nam, jakbyśmy znali to, co oni zrobili i powiedzieli, a nieraz bylibyśmy w kłopocie, chcąc sobie zdać ściśle sprawę z tego uczucia. Uwielbiamy ich *na słowo, oklaskujemy na wiarę;* co chwila wspominamy w rozmowie ich imię i znowu je powtarzamy; mamy ich na ustach, pod ręką; spotykamy ich na obrazach, posągach, w rozmowie, w salonie, na trybunie, w teatrze, dzienniku — wszędzie: ale zkąd oni pochodzą, czem są, co uczynili, wiemy bardzo niedokładnie: ich historja i czyny są nam nie znane. Tę to historję chcielibyśmy dać poznać czytelnikom za pomocą naszej książki“.

Na czterystukilkudziesięciu stronicach dużej 16-ki przesuwają się przed nami, w chronologicznym mniej więcej porządku, cienie wielkich bohaterów wszystkich narodów i czasów. Mówimy umyślnie „cienie“, to bowiem, co zostaje w najlepszem nawet streszczeniu, stoi w takim stosunku do oryginału, jak cień do przedmiotu, który go rzuca o ścianę.

Najpierw więc zapoznają nas autorowie z treścią „Romajany“ i z epizodami »Mahabharaty». Później idą epopeje greckie. Autorowie słusznie zrobili, podając prócz „Iliady“ i „Odyssei“, treść mało znanej »Argonautyki« Apoloniusza z Rodu, oraz wzmiankę o epice bizantyjskiej. Dalej idą

epopeje rzymskie (Eneida, Farsalia). Następnie po krótkiej wycieczce na Wschód (Szach-Nameh, Firdusi'ego), wracają autorowie do Europy i, streściwszy »Pieśń o Rolandzie«, »Eddę«, „Nibelungów“, przechodzą do Hiszpanji (Cyd, Aracuana) i Włoch, gdzie zatrzymują się dłużej (Dante, Bojardo, Ariosto, Tasso). Przegląd epiki portugalskiej (Camoens), angielskiej (Milton), niemieckiej (Klopstock) i francuskiej (Henrjada), zamyka pracę uczonych francuskich, którą tłumacz wzbogacił znacznemi uzupełnieniami (około 100 stronic), dodawszy wyjątki z powieści serbskich, z bylin ruskich, słowa o pułku Igora, oraz z epiki naszej. Prócz tego w osobnym rozdziale, poświęconym epopei w XIX. wieku, wyliczył tłómacz wszystkie ważniejsze poematy czasów najnowszych i starał się je w krótkości scharakteryzować. Jak widzimy, p. Lange robił, co mógł, żeby usprawiedliwić szumny podtytuł tłómaczonej książki »Arcydzieła poezji epicznej *wszystkich czasów i narodów*“. Gdyby chiał zrobić więcej, musiałby chyba napisać drugie tyle, bo, aczkolwiek dzieło to zawiera wiele, bardzo wiele poematów, nie zawiera atoli wszystkich, nawet najważniejszych. Z literatury niemieckiej są podane tylko »Nibelungi« i »Messjada“, jakgdyby przedtem i potem nie zjawiło się w ojczyźnie Goethe'go i Schiller'a nic godnego uwagi na polu literatury epicznej. A »Parcival« Wolframa z Eschenbachu (1170—1230)? Toć to utwór potężny, nietylko rozmiarami, ale i pomysłem i wykonaniem. A »Trystan i Izolda« współczesnego Wulframowi, Gotfryda ze Strassburga? Jeżeli autorom szło tylko o popularniejsze i głośniejsze utwory, to obie wspomniane epopeje niemieckie, od czasu kiedy Wagner przerobił je na dramaty muzyczne, cieszą się przecież niemałą popularnością w świecie literacko-artystycznym. A »Herman i Dorota« i »Reineke Lis“? A Pulci i jego »Morgaute«? Zresztą zasada uwzględniania głównie rzeczy bardziej znanych, niezupełnie przypada nam do gustu. Z »Iliadą«, »Odysseą«, »Eneidą», łatwiej się spotkać w przekładzie; „Kalewala“ jednak, — którą Francuzi zupełnie opuścili, i o której tylko sumienny tłómacz dał krótką wzmiankę — mało komu wpadnie w ręce. Z tego samego względu należałoby, zdaniem naszem, więcej stosunkowo poświęcić miejsca epopejom indyjskim. Już sama ich gigantyczność domagała się obszerniejszej ramy. Na przeczytanie 10 tomów „Ramajany« i dwudziestu „Mahabharaty«, nie każdy się zdobędzie, a materjału, i to ciekawego i godnego uwagi, materjału poetycznego, jest w tych olbrzymich utworach moc. Wśród epizodów drugiego ze wspomnianych poematów, pominięto „Bagawad-Gitę“, a właśnie szersze uwzględnienie tej części pozwoliłoby czytelnikowi zapoznać się z duchem indyjskich poglądów na świat i życie. W streszczeniu opowieści z „Walu i Damajanti“ pominięto zupełnie postać i czyny demona Wali, zakochanego w pięknej królewnie. A przecież to osiowa figura akcji poematu. On to wszedłszy w ciało Wala, nakłania go do gry w kości i staje się powodem nieszczęść obojga małżonków. Fałszywem również jest określenie charakteru cywilizacji indyjskiej, jako „ubóstwienia materji“, kiedy właściwie hinduizm jest panteizmem spirytualistycznym najczystszej wody. Nie wiem również zkąd się wzięła wiadomość, że miejsce urodzenia Klopstocka, Quedlinburg, leży w Szkocji (str. 288). Chyba to błąd drukarski. Te drobne usterki atoli niewiele odejmują wartości książce, która może być bardzo użyteczną dla ludzi interesujących się literaturą, a niemających czasu do źródłowych studjów nad jej pomnikami. Ba, niejeden krytyk nawet, będzie mógł przy pomocy tego dzieła, popisać się ze zdobytą tanim kosztem erudycją! Zresztą tłumacz wszędzie porobił dodatki o przekładach polskich streszczonych arcydzieł, — kto więc zechce, trafi i do źródeł.

URSYN.

„Po chrześcijańsku“.

Stała przed sędzią śledczym, zalękła, skruszona, obdarta i na zadane jej pytanie: „czy zabiłaś?“, odpowiadała głosem urywanym, z jakąś gorączką i pośpiechem:

— Tak!... tak!... zabiłam!... czy ja wiem?... ludzie mówią!... O, zabiłam go, tak, tak!... Któż by zabił?... ja, rozumie się, ja!...

Była drobna, chuda kobiecina, przy tem brzydką i pochmurną miała twarz, a kilka dni więzienia, w którem od czasu nagłej śmierci męża przesiedziała, zostawiły swoje piętno na jej oczach małych i zapadłych, na ustach wykrzywionych bólem, na poszarpanych kosmykach jej włosów i na jej stroju nędznym, niby przez psa wściekłego porwanym.

Wezwano świadków: Bartłomieja Szczygła i Macieja Barnasa.

Sąsiadami byli obaj i pierwsi przybiegli, gdy się lament podniósł, że Wojciech nie żyje. Zastali go leżącym na podwórzu. Okryty był słomą, a na szyi miał dwa czarne piętna i pręgę siną, co świadczyło, iż został uduszony.

Cóż tam zresztą znaczy mniemanie Bartłomieja Szczygła i Macieja Barnasa!... Przecież sam doktor wydał opinję, iż Wojciech Tarczyk musiał być zaduszonym, gdyby się bowiem sam powiesił, sina pręga okrążałaby całą szyję, u zmarłego zaś uwydatniła się tylko na samym przodzie i kończyła dwoma plamami, które jedynie śladem ludzkich palców być mogą.

Nie czyje inne zaś były owe palce, jeno Wojciechowej.

— Z mężem źle żyła — świadczył Bartłomiej Szczygieł — i parobek wójtowski do niej przychodził.

Wojciechowa zadygotała i brzydkie swoje, ponure oczy zatopiła w świadku, a później trwożnie przeniosła je na twarz sędziego.

Sędzia spojrzał niedowierzająco na zalękłą i brzydką kobietę, a urzędowy obrońca oskarżonej uśmiechnął się nawet pod wąsem...

— Jakim człowiekiem był zmarły Wojciech Toporczyk? — zapytano świadków.

— Bez urazy — mówił Maciej Barnas — był człowiek mało wart. Pijał, babę co wlazło bił, a przytem na kradzieży spekulacje przeróżne czynił. Kradł co się dało: kurę, gęś, polano drzewa, a nawet konia, jak czasem... Właśnie na dwa dni przed śmiercią schwytano go w Wólce, jak prosiaka ciągnął cudzego. Było to nocą, więc chłopcy związali złodzieja, rzucili go tak skrępowanego do obory, a rankiem zebrali się wszyscy i obili go porządnie. Chłop z bólu i ze wstydu poszedł się później pocieszyć do karczmy, a do chałupy wrócił o zmierzchu pijany, babę zbił okrutnie i legł spać w stodole. Rankiem nazajutrz znaleźliśmy go na podwórzu już nieżywego...

— Jak sądzicie, czy nie umarł czasem od razów, jakie mu za złodziejstwo wymierzono?

— Gdzie zaś! — odparł Bartłomiej Szczygieł. — Po ranach był zdrowiusieńki. Może go tam zresztą kości i bolały, ale w karczmie pił w najlepsze.

— Czy oskarżona okazywała nienawiść do męża?

— Nie inaczej. Ciągle na niego wyrzekała, przeklinała go w pień, a do tego, jak już świadczyłem, miała wójtowskiego parobka...

— Na czem opieracie to posądzenie?

— Na tem, że wójtowski parobek do chałupy często zaglądał, babie wodę z sadzawki nosił i drzewo łupał.

— Czy zmarły wiedział o tym stosunku?

— Musi wiedział. Raz, będzie trzy tygodnie przed śmiercią, babę skatował, a parobka z dziedzińca wypędził.

— Czy nie przypuszczacie, że to właśnie ów parobek dopuścił się zbrodni?

— Gdzie zaś! On zmienił służbę i poszedł o dwie mile od naszej Wólki do ekonoma. Nie widziano go więcej we wsi...

Sędzia spojrzał znowu badawczo na oskarżoną.

Stała wciąż, tak samo zalękła, skurczona i węzłowatemi palcami coraz chwytała się na nowo za chustę zszarzaną.

— Pytam raz jeszcze — powiedział głosem, który usiłował być łagodnym, chociaż był ostrym i zimnym, — czy oskarżona przyznaje się do winy zabójstwa męża?

Baba zadygotała, zaczerwienione jej powieki poczęły drgać, potarła bose żylaste stopy jednę o drugą i potem chustę na piersiach mocno ściągnęła.

— Tak... tak... — bełkotała — niech mi jasny pan wierzą!... Ja winna, ja winna! — woła po chwili, bijąc się pięścią w piersi. — Któżby zawinił?... ja, ja!... ja go zdusiłam!

— Powiedzcie, co was skłoniło do popełnienia zbrodni?

Baba palce zanurzyła w kosmyki włosów i osłupiałemi oczyma powiodła dokoła.

— Czy ja wiem!... czy ja wiem!... — zajęczała.

— Mąż był dla was niedobry?

— Tak!... tak!... był niedobry!... — wołała tym samym jękliwym głosem, prawie bezmyślnie.

— Bił was?

— Tak, bił!...

— A czy słyszeliście, co mówili świadkowie?... Zdradziliście męża?

Na chwilę zastanowiła się.

— Ja?... ja?... — krzyknęła w końcu — To łgarstwo!...

I w rozpacznym wybuchu podniosła prawą pięść.

— Parobek wójtowski nie był waszym kochankiem?

— Nie!... żeby mi tak skonanie było lekkie, nie był!...

Trzęsła się cała. Z małych jej, zapadłych oczów trysnęły iskry gniewu, żalu. rozpaczy.

— A po cóż on do was zaglądał?

— Po co?... po co?... Przez litość pewnie!... Ziemniaków mi czasem wójtowskich w garnku przynosił, ot co!... A litość on miał dla mnie, bom mu siostrę moją rodzoną chciała wyswatać!...

— Kiedy wam przyszła myśl zabić męża?

— Kiedy?... kiedy?... czy ja wiem?!... pewnie rano!,.. tak! tak! rano!... Przyszłam o świcie do stodoły i... ola Boga! ola Boga!...

Schwyciła się za głowę i płakać zaczęła.

— Czy mąż wasz spał, kiedyście do stodoły przyszli?

Otworzyła szeroko oczy.

— Czy spał?...—zapytała ponuro.

I nagle obie ręce wyciągnęła przed siebie, jakby jakieś widmo chciała odpędzić. Ale wnet skurczyła się znowu, zadygotała i poczęła mówić bezładnie.

— Spał... a jakże, spał... taki był spokojny... spokojniutki... ani zipnął!... Rano jasno było, bardzo rano... więc się krzyżem świętym przeżegnałam, kiedym go ujrzała i ola Boga wołałam!... To jest, nie!... co ja gadam!... Spał spokojniutki, więcem się na niego rzuciła... rzuciła!... Ola Boga!... ola Boga!...

Pięście wcisnęła sobie w oczy i z głuchym jękiem pochyliła się na ścianę. Straszny płacz wydarł się z jej wklęśniętej piersi i złowrogiem echem obił się o ściany sali sądowej.

Posiedzenie przerwano.

Oskarżoną polecono odprowadzić napowrót do celi więziennej i postanowiono przywołać nowego świadka, parobka wojtowskiego.

— Sprawa niejasna...—szeptał sędzia.—Ta baba jest nieprzytomną...

Urzędowy obrońca wyszedł razem z oskarżoną.

Szedł obok niej i przypatrywał się, jak postępowała nierówno, zataczające się i zadychając co chwila.

— Ona jest niewinna!—mówił mu głos jakiś wewnętrzoy.

Wszedł za nią do celi więziennej.

Kiedy go spostrzegła, przeraziła się. Wtuliła się w sam kącik i z pod chusty patrzyła na niego, oczyma gorączkowo błyszczącemi. Cała przygięta, zdawała się przygotować do jakiegoś skoku, niby pies, oczekujący na karę, a planujący sobie natychmiastową zemstę.

— Moja kobieto—odezwał się łagodnie obrońca—jestem tym, który musi i chce was bronić. Możecie przedemną wszystko wyznać otwarcie; mam prawo was bronić. ale nie mam prawa zdradzać... Powiedźcie mi całą prawdę!

— Prawdę?—wykrzyknęła—jaką prawdę!... ja nie mogę powiedzieć!... ja już powiedziałam prawdę!... Zdusiłam, tak, zdusiłam!...

— A jeżeli ja wam powiem—mówił obrońca poważnie, ale stanowczo i energicznie—że to kłamstwo?!

Zadrżała febrycznie.

— Nie kłamstwo!... nie kłamstwo!—wołala rozpaczliwie.—Czego wy chcecie? to prawda!...

Obrońca spojrzał na babę badawczo i zadowolenie odmalowało się na jego twarzy. Czuł, że się zbliża do rozwiązania sprawy...

— Moja kobieto — mówił dalej — jestem pewny, że to nie wyście zabili męża! Dlaczego kłamiecie przedemną? Wyznajcie wszystko, ja nikomu o tem nie powiem!...

Rzuciła na niego wejrzenie, pełne niedowierzania. Potem głowę na dół opuściła i wyłamywała sobie nerwowo swoje węzłowate palce.

— Nie powie pan? — odezwała się w końcu szeptem ochrypłym, błagalnie wpatrując się w obrońcę.

— Bądźcie o to spokojni!... Mówcie proszę was!

Znowu zaczęła drżeć, a potem skurczona podbiegła do obrońcy i uchwyciła się jego rękawa.

— Nie ja zabiłam, panie nie ja!... — szeptała. — O Jezu Nazareński, o Matko Przenajświętsza! gdzież jabym zabiła!... rany Boskie duszy bym ja nie miała, czy co! O Jezu przebacz mi!... o Matko dzieciątka Bożego, ujrzyj łzy moje!...

Dostała spazmatycznego płaczu. Pierś dłońmi ściskała.

— Więc któż go zabił?... kto?...

Głowę podniosła i ukazała swoje załzawione oczy i swoją boleść na zwiędłej twarzy.

Nie powie pan? — bełkotała — nikomu nie powie?... On sam się zabił nieborak!... Jak go we wsi chłopcy obili za kradzież, widać wstyd go zmógł!... Przyszłam rankiem do stodoły, a on na twardych witkach wisiał i już ani zipnął!... zerwałam go z haka... a on był zimny... i miał taką krótką pręgę na szyi jakby go kto ręką zdusił... siny był, o Matko przenajświętrza!... martwy był, o Jezu!...

Obrońca aż się cofnął ze zdumieuia.

— Więc dlaczegoście przyznawali się, że to wyście męża zadusili?

— Rany Boskie dlaczego?!... Ola Boga!

Zbliżyła się tuż a tuż do obrońcy, nachyliła się do jego rękawa.

— A czy to pan nie wie — mówiła tajemniczo — że Bóg karze takich, co sami na swoje życie się pokuszą i kościół nasz święty karze także?..

— Cóż z tego?

— Nie po chrześciańsku, by go pochowali panie! — wykrzyknęła nagle, po chwili milczenia, z jakimś ogniem w oczach — nie w ziemi święconej by go pochowali nieboraka! A tak, to chrześciański miał pogrzeb i po naszemu go do ziemi świętej zakopali, po chrześcijańsku!...

Ręce jak do modlitwy złożyła i upadła na kolana...

Benjaminki.

Z inicjatywy jednego ze swoich czytelników »Figaro« rozesłało cyrkularz do najwybitniejszych artystów i literatów z zapytaniem, które mianowicie dzieło swoje uważają za najlepsze.

Oto garstka odpowiedzi:

„Wprawiacie mnie w rzetelny ambaras. Wolałbym uchodzić za złego ojca, niż dać śmieszną odpowiedź sowy z La Fontaine'a:

Cudne są moje malutkie,
Nadobne, wdzięczne, słodziutkie,
Po tem je właśnie poznacie...

Zresztą, nigdy nie czytuję, co raz napisałem, nie zajmuję się pracą skończoną, staram się o niej zapomnieć. Owoc dojrzał, spadł z drzewa — i koniec. Dalej, poczciwe drzewo, staraj się rodzić inne!

Jednakże powiem wam, iż ze wszystkich wierszy, ze wszystkiej pracy, jaką kiedykolwiek napisałem, największą sympatję mam do utworów, w których, przedstawiając egzystencję nędzy, starałem się dać maluczkim chwilę pociechy i ukojenia. Na tym punkcie krytyka często bywała względem mnie niesprawiedliwą. Nazywano mnie trywjalnym, banalnym, protestowano w imię arystokracji sztuki. To tylko mogę powiedzieć

na moją obronę, iż w dzieła właśnie, o których wspominam wyżej, włożyłem najwięcej rzewnego uczucia, najwięcej wzruszeń prawdziwych.

Sympatje maluczkich wynagrodziły mnie za ataki krytyki hojnie.

To też Benjaminkami mojemi są utwory, w których byłem miłosierny.

Franciszek Coppée".

„Numa Roumestan" jest dziełem, które przekładam nad inne, bo najwięcej włożyłem w nie nowego i dotychczas niewydanego.

Alfons Daudet".

„Ojciec kocha wszystkie dzieci, często nawet ma słabość dla najbrzydszego.

Nie należy go więc zapytywać o sympatje do oddzielnych członków rodziny, bo w tej sprawie mógłby być złym sędzią.

Benjamin Godard".

„Rodzina Cardinal.

Ludwik Halévy".

„Które z moich dzieł przekładam nad inne? Odpowiedź trudna, boć zazwyczaj autorowie są niekompetentnymi sędziami w swoich własnych sprawach, a ich sympatje artystyczne nie stoją w zgodzie z sympatjami publiczności.

Jedna z moich operetek przyjmowana była wszędzie z jednakiem uznaniem. To „Córka pani Angot". Dodać muszę, iż nie jestem daleki od podzielania gustu publiczności. Nie idzie za tem, aby „Giroflé", „Petit", Duc, „Le Jour et la Nuit" nie miała ustępów subtelniejszych, ale „Córka pani Angot" zdaje mi się dziełem najlepiej poczętem, w którem najściślejszy istnieje związek pomiędzy librettem a muzyką, dziełem, jednem słowem, które na przedstawieniach zadowalniało mnie najbardziej.

Co zaś najbardziej podoba mi sią w „Pani Angot": nie ma w niej czynników tradycyjnych operetki, niema królów, ani śmiesznych ministrów ani charakterów, ani kostjumów szarżowanych, ani finałów w tempie galopady, ani kupletów itp. Sztuka, jeżeli jest grana właściwie, pozostaje od początku do końca w stylu starej opery komicznej z końca zeszłego stulecia.

Pozwólcie mi dodać, że i w innych operetkach są ustępy, które cenię bardzo. Są to przeważnie rzeczy, stworzone bez zbytniego nakładu pracy, improwizowane, że tak powiem, dające mi odrazu zupełne zadowolenie.

W dziełach wielkich nazywają to natchnieniem.

W operetce, skoro już mamy do czynienia ze słowami zdrobniałemi, nazwijmy to natchnionkiem. Karol Lecocq".

Chcecie prawdy?

A więc, autor lubi najwięcej sztukę, która największe miała powodzenie, co jednak nie dowodzi, aby była najlepszą.

Edward Pailleron".

„Który z moich romansów cenię najwięcej? Największe zadolenie przyniosła mi „Dziczka", najwięcej zaś miałem przyjemności, gdym tworzył „Miłość jesienną." Andrzej Theuriet."

„Żadnemu z moich dzieł nie oddaję pierwszeństwa. W każdem z nich lubię po kilka ustępów, te mianowicie, w których wyraziłem jasno, com chciał powiedzieć.

Oto wszystko.

Z chwilą, gdym skończył dzieło, gdym oddał książkę publiczności, nie istnieje już ona dla mnie.

Cała namiętność moja do dzieła już napisanego znika. Muszę robić wysiłek, jeżeli chcę sobie przypomnieć któryś z moich romansów, niestety, zbyt licznych. Są to jakby groby krewnych i przyjaciół, często bardzo drogich sercu. Ale zbyt smutnem byłoby dla mnie chodzenie na te groby. Emil Zola.

Z przeszłości p. Krestowskiego.

(Berg: Zapiski o polskich spiskach i powstaniach. T. III., str. 488—491.)

Wiadomo jaką rolę odgrywa dziś w Warszawie p. Wsiewołod Krestowski, główny redaktor „Dniewnika Warszawskiego", sprowadzony naumyślnie z Petersburga przez Hurkę. Przy pojawieniu się nowego redaktora i po ogłoszeniu przez niego redaktorskiego manifestu, obiecującego rzekomo sprawiedliwe i bezstronne poglądy na sprawy polskie, te nasze stronnictwa, które gotowe „paść do nóg" każdemu zaborcy, jeśli tylko popiera klasowe nadużycia, a przynajmniej obiecuje w nieokreślonej przyszłości jakieś ulgi i przywileje, odezwały się o p. Krestowskim z wielkiem uznaniem i słodziutką nadzieją; tak pisał np. „Czas" krakowski. Ale kto miał jakie takie pojęcie o przeszłości nowego redaktora, wiedział z góry, że jego rządy zwiastują nowe prześladowania i tak się też stało. Wiadomo od roku jakim się stał stekiem donosów, oszczerstw, fałszów i wymyślań „Dniewnik" pod redakcją p. Wsiewołoda. Przytaczamy opowiadanie Moskala, naocznego świadka dawnych działań p. Krestowskiego w Warszawie, zaraz po upadku powstania styczniowego, by pokazać do jakiego stopnia nieświadomości i nierozsądku dochodzą nasi rozbiorowi konserwatyści, spodziewający się by taki Krestowski mógł być czemś innem, niż zwykłym najętym siepaczem i niesumiennym pismakiem.

„W 1865 r., — pisze Berg — po wymyślonym przez Trepowa nowym spisku, w którym dali się złapać sprowadzeni z Paryża przez szpiegów prowokatorów emisarjusze: Wład. Daniłowski, Zdzisław Janczewski i inni, przy pomocy sfałszowanych pieczęci Rządu Narodowego, trzeba było nowych fantasmagorij. Zało-

żyli więc w Warszawie komisję dla odkrycia podziemnych chodników i katakomb, pod przewodnictwem nowego warszawskiego ober-policmajstra, Frede

ryksa, który zastąpił Trepowa. Ten ostatni został ober-policmajstrem w Petersburgu, po zamachu Karakozowa.

Żeby nadać raportom komisji przyjemną literacką formę, zajmującą dla czytelników, Frederyks sprowadził sobie jako redaktora jej „Dziennika“, autora „Petersburskich nor“, Krestowskiego, jako dość znanego literata, a głównie doświadczonego w opisach tego rodzaju. Dali mu przyzwoitą pensją (1500 rubli) mieszkanie z 5 pokoi przy X. cyrkule, na Nowym Świecie, z opałem i światłem i krzesło w teatrze. Fryderyks wymyślił nawet dla niego osobny mundur: ciemnoszary kaftan z szerokim skórzanym pasem, palone buty, czapkę podobną do staroświeckich bojarskich kołpaków; a „odznaką jego władzy“ był „młotek“ jak u wolnych mularzy. Pomocnikami a zarazem gwardzistami jego byli tędzy policjanci, około dziesięciu, którzy towarzyszyli swemu wodzowi ze sznurami i młotami. Czasem, oprócz młotków, brano i motyki...

Krestowski mógł ze swojem wojskiem najechać jakiebądź domostwo w Warszawie, opukiwać ściany, rozkopywać podwórza, leźć wszędzie do woli Jako znany i ultra-patrjotyczny pisarz, zaznajomił się dość prędko ze śmietanką rosyjskiego towarzystwa w Warszawie i z największą powagą pukał do murów niektórych generalskich mieszkań... Ich ekscelencje uśmiechały się...

Żadnych katakumb nie odnaleziono, ale autor „Petersburskich nor“ opisał przecie dość przyzwoicie kilka „odkryć“ (patrz zupełne wydanie dzieł Wsiewołoda Krestowskiego); rolę „ciemnic“ i „katakumb“ odgrywały stare lochy i zrujnowane piwnice. W zamku, w takiej piwnicy p. Krestowski odkrył nibyto „wchód do podziemia ku Wiśle!...“ Cała ta literatura wychodziła na ładnym welinowym papierze, z drukarni ober-policmajstra, i posyłano ją do Petersburga. Podziemie ku Wiśle zostało nawet odfotografowane przez Mieczkowskiego przy świetle elektrycznem i dołączone jako ilustracja do opisania p. Krestowskiego. Mieczkowski musiał się zobowiązać na piśmie, że „nie będzie rozpowszechniał tej fotografji“, choć mu się nie śniło o takiem głupstwie...

Wszystkom to widział sam, o czem teraz piszę, do niektórych »katakumb“ łaziłem we własnej osobie i grzebałem się w piasku — a zdaje mi się, że to sen na jawie! A ile było wówczas takich snów!...

Gdyby genjalni odkrywacze warszawskich katakumb mieli tyle roztropności i taktu ile czelności i apetytu do rządowych rubli, płaconych za zbijanie bąków, zbijanie by się ciągnęło dalej, i ci ichmościowie słynęli by z pewnością w naiwnych rosyjskich kółkach jako najgorliwsi słudzy ojczyzny — ale w tem sęk, że byli zbyt nieostrożni i beztaktowni, rosyjsko-szlafrokowi; myśleli sobie: „ej! uda się! wszystko się da zrobić!“... Nikt nie pilnował p. Krestowskiego, to też przeszukał cały środek miasta (około Zamku, na Piwnej, Świętojańskiej, Senatorskiej, na Krakowskiem Przedmieściu, na Dziekance, na Miodowej, Browarnej, Czystej i Wierzbowej) i nie znajdując więcej starych piwnic, zszedł z tej bezpiecznej operacji na bezdroże: wlazł z całą watagą swoich policjantów, do „prawdziwych katakumb warszawskich“, do klasztorów, i zaczął pukać młotem do grobowców dawno pochowanych arcypasterzy i magnatów. Rozbijano nawet trumny; p. Krestowski znalazł niby to gdzieś... gwóźdź w trupiej czaszce!... Zakonnicy udali się do swojej protektorki, do hrabiny Berg; ona opowiedziała mężowi jakich się profanacji dopuszcza p. Krestowski w klasztornych katakumbach. Berg dawno spoglądał niechętnie na „komisję“, dawno się śmiał z literatury autora „Petersburskich nor“, ale znosił przez delikatność całą tę niepotrzebną instytucję. Skarga hrabiny przepełniła miarę: namiestnik skasował »komisję«. Krestowski musiał wyjechać do Petersburga, by tam zaokrąglić jak się należy swoje warszawskie „odkrycia“...

Z ruchu literackiego.

Or-Ot. (Artur Oppman). Pieśni. — Warszawa. — Nakładem Paprockiego i Spółki. — 1894.

Nie pierwsza to już publikacja tego autora; przed czterema laty (1889) wydał on mały tomik »poezji«. Licząc się z przeklętym partykularyzmem trzech dzielnic i chińskim murem kordonu, uważamy za stosowne przypomnieć, że pierwszy ów tomik poezji nie odznaczał się samodzielnością i czuć było w nim wyraźnie wpływ Asnyka. Autorowi zbywało na prawdziwej oryginalności, na określonym kierunku w temacie i sposobie tworzenia; nie można się było u niego dosłuchać owego tonu, o którym mówi Gustaw Freytag:

nur was in dir selbst erklungen, gibt reinen, vollen Ton
und kannst du den nicht wecken, so schweige Dichtersohn.

Dziś staje przed nami p. Oppman poetą, zdaje się skończonym, o wyraźnych rysach twarzy, z techniką bez zarzutu, z indywidualnym sposobem tworzenia; powtarzamy wyraźnie sposobem tworzenia a nie kierunkiem filozoficznym lub estetycznym. Dzisiejsze »pieśni« podzielił autor na kilka grup: »Z motywów Szopena«, »Szkice z zaułków«, »Na skrzypkach«, »Z serca i z ducha«, »Mozajka« i »Bliskiej... dalekiej. — Pierwszą z nich uważamy za najmniej udatną. Autor nie podał odnośnych utworów muzycznych,

nie można więc ocenić, czy potrafił nagiąć wiersz do niepochwytnej jak woń kwiatów melodji Szopena; przytem przyznamy się, że zbyt żywo mamy w pamięci rymowane transkrypcje Ujejskiego i że wiersze p. Oppmana przez mimowolne i bezwiedne porównanie z nimi wypadają słabo. Również nie podbijają sobie czytelnika »Szkice z zaułków«. Ładny jest w nich »stary aktor«, co konając na nędznem poddaszu woła: do słońca! — ładniejsze jeszcze »trzy boginie«; za mało nowe są: »rynek staromiejski« i »zacna knajpa pod syreną«, a już »panienek z facjatki« i samychże facjatek mamy dosyć. Tę facjatkową poezję zainaugurował w nowelli Prus, a w rymie Gomulicki i jakkolwiek nie bez wdzięku odstręcza ona swoją drobnostkowością i refleksją, że poeci warszawscy nie umieją odmalować szerokiego życia i silnego tętna wielkich miast.

Wspomniawszy jeszcze o dwóch balladach (z grupy: echa średniowieczne, do której to epoki p. Oppman ma wyraźną słabość) zakończymy przegląd epicznych wierszy Or-Ot'a, a przejdziemy do lirycznych, które najlepiej odpowiadają talentowi i temperamentowi autora. Większość z nich (»Bliskiej... dalekiej«, »Piosnki pod muzykę«, »Mozajka«) to erotyki trochę mgliste, bez krwi, nienamiętne; rozpaczy w nich nie znaleźć. Patrząc nawet na ukochaną swoją, dziś żonę obcego człowieka i matkę dziecka, zdobywa się tylko na bezbrzeżnie smutną myśl: wyście nie moi! Być może, że krańcowe zaparcie się, szlachetność i duma nie pozwalają autorowi jęczeć, krzyczeć z bólu, więc ogranicza się tylko do łez, smutku i tęsknoty, które są u niego szczere i prawdziwe. Ta szczerość i ta prawda to największe zalety p. Oppmana. Nigdy nie posługuje się on koturnami — i bez nich wysoko nad ziemią stąpając — i nigdy nic nie udaje. Ten brak napuszonej emfazy, to wypowiadanie wprost swych uczuć i myśli, nie krępowanie się rutyną, uświęconymi wymogami artyzmu jest właśnie według nas oprócz wielkiej zalety także oryginalnością Or-Ot'a. W lirykach jego zwłaszcza dłuższych nie widzimy ugrupowania około punktu ciężkości, bo nie ma tego punktu ciężkości, poeta rozprasza się a nie skupia, jest niejednolity, daje się ponosić skrzydłom marzenia a porównania i obrazy biegną po sobie trochę chaotycznie i bezładnie ale z wdziękiem i czarem prawdziwej poezji. P. Oppman to typowy marzyciel; nie tak chorobliwy jak Alfred de Vigny, podobnie jednak jak tamten żyjący chętnie i z uporem w świecie mar wyśnionych i wyśnionych ludzi. W ostatnim wierszu: »mówią mi ludzie« dość marzeń, dość szałów, trzeba swych czasów wiernem być odbiciem — odpowiada

Wiem o tem wszystkiem... A jednak niestety
Nie jestem wieku prawowiernym synem

i umiem żyć tylko dla pieśni i przez pieśń. Wskutek tego zamknięcia się w tęczowem kole pieśni i baśni, pewnego nawet zacietrzewienia się pod tym względem [niech ona (pieśń) kłamie lecz szlachetnie kłamie! — »Potwarcom pieśni«], wskutek usposobienia marzycielskiego jest p. Oppman lirykiem egotycznym i piekące kwestje socjalne n. p. nie znajdują w nim oddźwięku. Zdaje się jednak, że nastąpi w tym względzie pewna zmiana na przyszłość. Już Nimfa (z serca i z ducha) skarży się, że

Trzykroć, trzykroć nieszczęśliwy
Kogo uwiódł czar marzenia
. . . .
. . . .
Wiecznie będzie gnuśnieć marnie
Bez sił i bez krwi

a jako utwór przejściowy do nowej fazy twórczości p. Oppmana pozwolimy sobie uważać wiersz: Demony (z serca i z ducha). Trzy Demony, trzy jędze sprawiają nicość człowieka i łamią jego życie: nędza, namiętność zmysłowa i alkohol. I oto jak mówi o drugiej poeta:

A gdy krwawej tej oprze się męce,
Pełen dumy i wzgardy i siły,
Ja piekielnym swym czarem go znęcę,
Wrzącą lawą napełnię mu żyły,
Ciał drgających oślepią go błyski,
Mózg płomienne rozżarzą mu słowa,
Aż go porwę w zabójcze uściski
Ja namiętność! Ja orgji królowa!

Gdy krew młoda powodzią w nim wzbierze,
Gdy się furja w nim ocknie szalona,
On w rozżarte zamieni się zwierzę
Opleciony w bachantek ramiona.
W piersi żądz mu ohydnych dam żmiję,
Błotem życia splugawię i skruszę
I zabiję! zabiję! zabiję
Jego ciało i serce i duszę!

Trzeba uznać rzadką jędrność i siłę słowa w tym wierszu, jedynym silnym w całym tomie »pieśni« i życzyć autorowi, ażeby przewidywana przez nas zmiana w wyborze tematów stała się faktem dokonanym. Zasklepiać się we własnem »ja« jest dla artysty bardzo niebezpieczną rzeczą. Liryka egotyczna nie straciła wprawdzie bynajmniej racji bytu — ale choćby owo »ja« poety zaklętym było pryzmatem i nie siedm ale krocie barw i iskier brylantowych dawało, to jednak muszą się one w końcu wyczerpać. P. Oppman temperamentu swego marzycielskiego nie zmieni, również nie pozbędzie się prawdopodobnie właściwego sobie sposobu tworzenia t. j. rozbieżności myśli i rozpływania się obrazów — tematy jednak może i — powiedzmy nieśmiało — powinien czerpać więcej z życia świata a mniej z siebie; jak tego dokonać niech go uczy Bysshe Shelley.

Więc: »greif' nur ins volle Menschenleben!« wołamy autorowi »pieśni«, któremu w falandze młodych naszych poetów należy się jedno z pierwszych miejsc; zdobywa je sobie szlachetnością uczuć, artyzmem i dumą pieśniarza. *Cyprjan.*